№ 23.

WARSZAWA.

7 Czerwca.

1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: List Józefa do brata, IV. — Wszech świat, IV, obrót dzienny i roczny ziemi, uważane jako miara czasu. — Woda. — Odparzenie nóg. — Różności: Stowarzyszenie wsparcia podupadłych lekarzy.

LIST JÓZEFA DO BRATA.

IV

(patrz numer 12 z r. b. Czytelni Niedzielnej.)

—

Czy ty wiesz mój kochany, że od tego czasu, jak ja w drogę jeździłem, jak mi pan Kazimierz pokazywał i opowiadał takie rzeczy, o których wprzód ani słyszałem, to mi się wszystko inaczéj wydaje, i sam jakiś zupełnie inny jestem. O czem dawniej ani pomyślałem, to teraz ciągle mam to na pamięci; na co dawniéj niespojrzałem, teraz to oczy moje zatrzymuje i ciągnie. A jak co zobaczę ciekawego, to póty rozważam i miarkuję aż dojdę co to znaczy, a jak już całkiem czego zrozumieć nie mogę, to wielki dla mnie frasunek, bo już nie mam spokoju, ale ciągle mnie to męczy, ciągle za mną chodzi, póty, póki mi kto niewytłomaczy. Dopiero jak zrozumiem, albo sobie przypomnę, że już o tem w Krakowie słyszałem, to zaraz jestem inny, a tak rad i szczęśliwy, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Dawniéj przed wyjazdem czy to raz naprzykład sprzątałem w pokoju u pana Kazimierza? Trzepałem książki, ocierałem obrazy, a żebym był choć pomyślał, co też to w tych książkach pisano i drukowano? Co też to na tych obrazach wymalowane, albo wyrysowane? Ho! ho! teraz to już inaczej, bo i ja się o wszystko zapytam i pan Kazimierz mi wszystko powie i wytłomaczy. Więc też sobie w wolnym czasie jedno z drugiem składam, i teraz znowu miałbym dużo rzeczy do opowiadania, a nim się zobaczymy, to ci choć coskolwiek opiszę.

— Tydzień temu, posłał mnie pan Kazimierz do introligatora, (*) żeby odebrać obraz dany do oprawy. Nie widziałem przed tem tego obrazu, to też jak go tylko przyniosłem do domu, zaraz ustawiłem go sobie na stole pod ścianą, usiadłem przed nim, patrzyłem i patrzyłem, że mi mało oczy nie wylazły.

(*) Introligator jest to taki wyuczony człowiek, co książk zszywa, i w okładki piękne i mocne oprawia, aby się nie tak prędko niszczyły; oprawia także obrazki, robi pudełeczka, skrzyneczki i wiele innych rzeczy. —

To tak, powiadam ci. Patrzysz a niezobaczysz, co to tam jest. Niby wystawia, że na niebie pochmurno, domostwo jakieś rozwalone, bo na górce sterczą tylko nadpalone ściany, a kamienie, cegły rozsypane między chwastami się walają, pies siedzi na kupie kamieni, i tak wyraźnie widać, że wyje z żałości. Aż tu niedaleko stoi jakiś zacny staruszek z siwą brodą, z kijem w ręku, jakby tylko co z dalekiej drogi, i stojącemu z nim także smutnemu chłopięciu pokazuje gdzie stał dom teraz rozwalony. Młoda pani siedzi tam znowu z rozpuszczonemi włosami, ręką jedną twarz zasłaniała, a drugą trzyma małą dziewczynkę, co się wszystkiemu ciekawie przypatruje. Za niemi chłop przyprowadził chudą szkapę z rzeczami i za głowę się złapał ze zdziwienia i z żalu. Patrzyłem długo, rozważałem i miarkowałem, coby to znaczyło aż nakoniec wyczytałem u dołu napis„ Powrót po napaści Tatarów.„ Wymiarkowałem więc zaraz, że musieli poganie domostwo spalić i zrabować, może nawet syna owego staruszka, a męża tej młodej pani zabić, ci zaś co przy życiu pozostali, to pewnie gdzie pochowali się w lesie, i teraz wracają, i niemają gdzie głowy złożyć. Coś się tam o tych Tatarach kiedyś słyszało, ale co? jak? kiedy? to już należycie niewiedziałem. Dopiero jak pan Kazimierz przyszedł, tak ja według zwyczaju. „Co to panie? Skąd się ci Tatarzy wzieli? Kiedy to oni rabowali?

A pan Kazimierz na to?

Pamiętasz, co ci w Wieliczce i w Nowym-Sączu mówiłem o królowej Kindze, czyli Świętej Kunegundzie?

— A jakże! pamiętam wszystko, że pochodziła z Węgier, że sól do Polski sprowadziła. Zapomniałem tylko, jak to się nazywał ten jej mąż, a nasz król, i wiele to temu lat będzie jak ona żyła?

— A widzisz, że nie wszystko pamiętasz, mówił smiejąc się pan Kazimierz. Mąż królowej Kingi nazywał się Bolesław Wstydliwy, a od tego czasu, jak oni królowali w Polsce, minęło już przeszło sześćset (600) lat. Wtedy to właśnie pierwszy raz pokazali się w Polsce Tatarzy. Chcesz się dowiedzieć, skąd się wzięli, to posłuchaj i pamiętaj. Słuchałem i spamiętałem, a dla lepszej pamięci, to jeszcze i tobie teraz opiszę.

— A to widzisz ci Tatarzy, to oni naprzód mieszkali zupełnie w innej części świata, nie tu, nie w Europie, to jest nie w téj części świata, w której leży nasza ziemia, w którój my mieszkamy, ale w Azyj, to jest w innéj części świata, od nas na wschód leżącéj. Tam naprzód podbili wielką moc różnych krajów, bo tak byli chciwi na zabory cudzych ziem i tak zażarci w boju, że im się nic nie oparło. Religję wyznawali oni nie naszą Chrystusową, ale Mahometańską, to jest, że jakiegoś Mahometa mieli za posłannika Bożego. Temu wierzyli i tego słuchali, co on popisał w książce, którą Koranem nazywają. W tego Mahometa i w ten Koran to wierzą i Turcy, co także do Azyj należą, i inne jeszcze rozmaite ludy, ale to później o tem pomówimy, teraz słuchaj tylko o tych Tatarach. Otóż jak im za ciasno było w Azyj, choć ona daleko jest większa od całej Europy, to posunęli się bliżej ku nam. Natrafili naprzód na pograniczu na różne ruskie księztwa, to większe, to mniejsze, z których wówczas nad każdem, osobny książe panował. Były tam niektóre bogate i piękne miasta w tych księztwach, więc raz po razu napadali na nie owi srodzy Tatarzy, i tak zniszczyli, złupili, że po niektórych miastach i wsiach, to śladu nawet nie zostawili. Gdy im się zachciało nowych łupów, to ciągnęły zaraz ogromne tłumy tej dziczy. Prowadzili z sobą tyle koni i wielbłądów, że jak pisali nasi dawni dziejopisowie, co na to patrzyli:

“ Od rżenia koni, ryku wielbłądów, skrzypu wozów tatarskich, nie można było dosłyszyć słowa ludzkiego.“ Biedny lud ruski, zastawiał się jak mógł przed tą nawałą, brał się na różne sposoby ratunku, wznosił zasieki, stawiał inne przeszkody. Ale Tatarzy znajdowali na to wszystko sposoby. Wysyłali naprzód samych siekierników czterdzieści tysięcy do rozrąbywania zasieków, a sam ich tłum zbrojny, to przeszło pół miljona wynosił. Nie oparła się też Ruś takiej sile, owe księztwa mniejsze i większe, owe miasta ludne i bogate, tem łatwiej małe i biedne, jedne po drugich dostawały się Tatarskim Chanom czyli wodzom. A przecie, chciwość ich do zaborów jeszcze i na tem nie poprzestawała. Łakome oczy obracali na dalsze chrześcijańskie kraje, a najpierw wyruszyć myśleli przez Polskę

na bogaty kraj węgierski. Zadrżała cała Europa od końca do końca, bo ci poganie głośno wołali, że złupią kraje jedne po drugich, że ludy wyrzną, albo w niewolę obrócą, że Krzyż Chrystusowy obalą i kościoły zburzą, bo jakoby do nich należało panowanie nad całym światem. I chełpliwie, a zuchwale wołali zwykle: jeden Bóg na niebie, a na ziemi jeden Chan. Zadrżały tedy wszystkie narody chrześcijańskie i wszystkie oczy swe zwróciły na Polskę tylko, jako na przedmurze od téj napaści zasłonić ich mogące.

— Czy Polska zatrzyma te tłumy pogańskie?

— Czy Polska resztę świata zasłoni?

— Czy krew wylana na polskich rolach i rozrzucone po nich kości, odpupią resztę świata od pogańskiej niewoli?

— Widać, że tak było wyrzeczone w niebie, i tak się też stało. Polskie rycerstwo stanęło murem między dzikiem pogaństwem, co się wylało z Azyj, a chrześcijańskiemi ludami Europy chrześcijańskiéj, i oświeconéj.

Od roku do roku, od strony Rusi, straszne do Polski o Tatarach dochodziły wieści. Drugi rok mijał właśnie, jak młodziuchna królowa Kinga, poślubiła króla Bolesława, kiedy około Bożego Narodzenia ujrzano u granicy pierwsze czaty tatarskie. Nie widzały też dotąd oczy polskie nic podobnego. Ludzie jak w jedno zrośli z końmi, odziani w futra, włosem na wierzch wywróconym, w takich samych włochatych kołpakach, a z pod kołpaków wyglądały twarze śniade, szerokie, płaskie, z wielkiemi gębami, a oczki maleńkie, przymrużone, błyskały jeno okrucieństwem i chciwością. Przez plecy mieli przewieszone torby skórzanne, czyli sajdaki strzał pełne, bo z łuku strzelali; u pasa wisiał zwykle topór straszny do rozbijania murów i zamków, albo i głów ludzkich; wreszcie miewali z sobą i powrozy, któremi zabranych jeńców wiązali i do koni swych mocno przytraczali. Okrzyk ich wojenny,, Hała — haj! — Hała — haj! dziko brzmiał w powietrzu. Nie dziw tedy, że jak lud zobaczył te straszne poczwary, rzucał domy, dobytek, szukał schronienia po lasach i w najdalsze okolice roznosił wieść o nich, jakby o jakich potępieńcach, jakby o jakich djabłach wcielonych, co najechali polską ziemię. Więc trwoga, płacz i narzekania od stołecznego Krakowa, aż do niskich chat wieśniaczych. Ale było dzielne rycerstwo wtedy, trwogi nie znało. Ono stawiło się, zajrzało w oczy temu strachowi, piersi nadstawiło, wiele krwi przelało, i powstrzymało dziki napęd tatarski. Na długo? Przynajmniéj na długo pozostały slady tej pierwszej napaści. Miasta: Kraków i Sandomierz spalone, zburzone, wyludnione, i w gruzy rozsypane. Ludzi poległo tysiące, jeszcze więcéj namordowano, a co gorsza nad śmierć, to to, że tysiące także nachwytano i zabrano do niewoli. Nie było komu zaorać rozrzuconych po polach kości. Po drodze, którą pogański wódz Batu-han prowadził swoich Tatarów zostały pustki, pogorzeliska. Dotąd też ta żałobna droga, co od Sandomierza na Iłżę prowadzi, nazywa się, Czarnym-szlakiem, albo szlakiem Batu-Chana. A jeszcze nim się nasi powyuczali wszystkich podstępów i przebiegów tatarskich, to przez swą odwagę, waleczność, i żądzę bronienia swéj ojczystéj ziemi lecieli na oślep do zguby. Tatarzy zaś chytrzy napadłszy niespodzianie na wieś albo miasto, brali w niewolę bezbronnych ludzi, krępując ich powrozami; uprowadzali dobytek, zabierali, lub niszczyli sprzęty, jakie tylko napotkali. Jakże nasi się o tem dowiedzieli, jak im drogę zabiegli, tak oni niby ze strachu porzucają wszystkie nagrabione łupy na polu i umykają w lasy. Wtedy nasi rzucają się, a przedewszystkiem aby porozpętywać jeńców, i wyswobodzić ich z niewoli, bo każdy nawet obcego ratowałby w takiej potrzebie, a nie dopiero swego. Jak się tedy rycerstwo na dobre już zajęło oswobodzeniem jeńców i odzyskaniem łupów, to wtedy dopiero Tatarzy w półkole się rostawiwszy, wymykali się w mgnieniu oka z lasu i ze wszystkich stron otaczali. Wtedy to dopiero rozpoczynał się tam bój na dobre. Ratuj się kto możesz, a przerzynaj się przez dzikie Tatarstwo. Położył życie nie jeden, ale też za to znowu nie jeden rozpętany jeniec wolność odzyskawszy, powracał do swoich, których już nigdy oglądać nie miał nadziei. Ha! różne drogi Boże, jak co komu przeznaczono, śmierć to śmierć; życie, to życie. Tak się jednakowoż Tatarom dała we znaki wojna z naszem dzielnem rycerstwem, że się im odechciało daléj wędrować, a tem bardziéj zabierać inne chrześcijańskie kaje. Ruś raz złapawszy, trzymali ją długo, i rozsiedli

się w Krymie nad Czarnem morzem. Stamtąd przez długie wieki, co lat kilka, czasem co rok zapuszczali hordy swoje na nasze ziemie. Województwa Krakowskie, Sandomierskie, Lubelskie najwięcej od nich cierpiały. Ruś Czerwona czyli Galicya, Wołyń, Podole Ukraina, to jeszcze i za Jagiellonów, a nawet i później opędzać im się musiały w każdej chwili, bo najczęściéj, gdy się nikt ani spodziewał, napadali, zabierali, wyrznęli, spalili, pola końskiemi kopytami zdeptali. I z nie jednego dworu, jak na tym obrazku, rumowiska zostały i pustki, na których psy wyły nocami z głodu i żałości. Najgorzej to już serce bolało nad temi, co ich poganin zagnał w niewolę, nad dziatkami maleńkiemi, co ni Boga, ni ojca, ni matki, ni Ojczyzny swojej znać niemiały, nad niewinnemi panienkami w twardą służbę hanom Tataskim zaprzedanemi, nad starcami gnanemi dociężkiej pracy. Nie jeden też za Matką, za żoną, albo siostrą puścił się w głąb pogańskiego kraju, czasem znalazł żywą, czasem już umarłą. Czasem, lecz rzadkim bywał tak szczęśliwy, co najdroższą rodzicielkę, albo towarzyszkę swoją przywiózł na powrót do domu, a czasem martwe już tylko wydobył ciało, żeby przynajmniej na rodzinnej spoczywało ziemi.

Jak mi pan Kazimierz to wszystko poopowiadał, tak wyszukał jakiejś książki, i przeczytał mi z niej piosneczkę, którą podobno na Szląsku dotąd śpiewają na pamiąkę tych smutnych czasów.

Dwoje ślicznych dziatek do Tatar zajęli.

Zajęli braciszka,
Zajęli siostrzyczkę,
Miły, mocny Boże,
Zajęli siostrzyczkę!

A braciszka dali
Do ciemnej piwnicy,
A siostrzyczkę dali
Do jasnej świetlicy.

Siedm lat tam była,
Złotem, srebrem szyła,
A na ósmy roczek
Snił ci jej się sniczek.

Snił ci jej się śniczek,
Że umarł braciszek;
Snił ci jej się drugi,
Że jest jeszcze żywy.

Tak bardzo płakała
Rękami łamała,
Miły, mocny Boże!
Rękami łamała.

Cóż dziewczyno płaczesz?
Cóż tak lamentujesz?
Miły, mocny Boże,
Cóż tak lamentujesz?

Śnił ci mi się śniczek,
Że umarł braciszek;
Śnił ci mi się drugi
Że on jeszcze żyje.

I dostała klucze
Od ciemnej ciemnicy,
Miły, mocny Boże!
Od ciemnej ciemnicy.

Gdy ciemnicę odważała
Na brata zawoła,
Żywyś bracie! żywy?
Alboś jest umarły?

Żywym siostro! żywy
Pod kolana zgięty,
Miły, mocny Boże!
Pod kolana zgięty!

W moich białych włosach
Myszy gniazda mają,
Moje czarne oczy
Gady wyjadają.

Wzięła go za rękę,
I precz wędrowała
Od wsiczki do wsiczki,
Aż do swojej Matusiczki.

Gdy do matki przyszła
O nocleg prosiła,
Miły, mocny Boże!
O nocleg prosiła.

Małą świetlicę mam,
Dla czeladki mam,
Idźcie do stodoliska
Na zgniłe snopczyska.

Gdy do stodoły przyszła,
Tak bardzo płakała
Miły, mocny Boże!
Matka nas nie poznała.

A małe pachole
Bieży ku stodole,

Ten głos usłyszało,
Matce powiedziało.

Moja miła matuleńko!
Miałam ja braciszka,
Miałam ja braciszka,
Albo i siostrzyczkę?

Miałoś dziecię, miało,
Aleś ich nie znało
Miły, mocny Boże!
Aleś ich nie znało.

A nie są ci oni,
Ci podróżni ludzie
Miły, mocny Boże
Ci podróżni ludzie?

Wnet do stodoły bieżała,
Rękami łamała,
Miły, mocny Boże!
Jam was nie poznała.

Gdyby ja była wiedziała,
Żeście moje dzieci,
Nocowała bym was
W téj nowej świetlicy,

Miły, mocny Boże!
W tej nowej świetlicy!

— A co? czyż nie ciekawa ta historja, czyż nie ładna piosneczka? Poczekaj, a ja ci o wielu innych równie pięknych będę opowiadał; bom już pana Kazimierza uprosił, że mi opowie o każdym obrazku, o każdéj książce, i o wszystkiem ciekawem, co się na świecie dzieje. A ma wiele, ma bardzo wiele! tych książek i tych obrazów, bo ile razy zacznę z takowych kurz zmiatać, to i skończyć nie mogę. Tylko że teraz, to mi się już nie tak nudzi. Z tych obrazów jak mi się zdaje, to wychodzą i patrzą ludzie jakoby żyjący jeszcze, na nich są, i jakoby teraz odbywają się różne działania, wojny i inne historyje, a ty wiesz, że jak mi kto naprzykład historyje opowiadać zacznie, to by mnie mógł za sobą na koniec świata poprowadzić. Pozdrów tam odemnie wszystkich dobrych moich przyjaciół. Powiedz Kasi, iż jeżeliby ją Tatarzyn uprowadził, poszedłbym za nią choćby do Krymu.

No! ja tu gadu, gadu, a robota czeka. Zostajcież z Bogiem.

Wasz Józef.

WSZECH ŚWIAT.

IV

Obrót dzienny i roczny ziemi uważane jako miara czasu.

(patrz numer 16 z r. b. Czytelni Niedzielnej.)

Przeciąg od jednego do drugiego wypadku lub zjawiska nazywa się czasem. Wypadek jeden pod drugim, al bo zjawisko jedno pod drugiem musi następować prędzej lub później, to też i czas jeden jest dłuższy, a drugi krótszy. I tak na przykład czas pomiędzy wschodem słońca a południem, jest krótszy od czasu między wschodem słońca a zachodem. Skoro zatem czas różną może mieć wielkość, jakimże sposobem moglibyśmy to ocenić, gdybyśmy mierzyć czasu nie potrafili? Jeżeli chcemy poznać, która z dwóch dróg jest większa, musimy koniecznie każdą z tych dróg zmierzyć. Aby zaś zmierzyć drogę jaką, musimy mieć miarę, i znać tej miary długość. Droga może się mierzyć sążniami lub milą. Podobnie więc jak długość drogi mierzyłem także długością taką, którą nazywamy sążniem lub milą, tak też długość czasu mogę tylko czasem mierzyć. Sążeń lub mila użyte do mierzenia nie mogą mieć dowolnéj w każdej chwili wielkości, ale przyjęto zwykle taką wielkość za stałą, za niezmienną. Czas również mierzyć należy czasem, ale nie jakimkolwiek, nie dowolnym, ale takim, którego długość jest zawsze stałą, jest niezmienną.

Nie ma na świecie nic stalszego, nic pewniejszego jak są prawa przyrody, jak prawa budowy i układu świata: wschód słońca, zachód słońca i pory roku wiecznie w tym samym następują porządku. Przeciąg między jednym a drugim takiem samem zjawiskiem jest zawsze ten sam, jakże więc łatwo możemy mieć miarę czasu. *Od zachodu do zachodu słońca, od północy do północy*, zawsze mamy jednakowy przeciąg czasu, od najdawniejszych przeto lat, taki przeciąg czasu za jego miarę przyjęto i **dniem** nazwano. Starożytni początek dnia od zachodu słońca liczyli, dzisiaj zaś początek dnia od północy się liczy, czyli od chwili, kiedy słońce najwyżej nad poziomem się znajduje. *Dzień cały podzielono na dwadzieścia czte-*

ry równe części, i każdą **godziną** *nazwano. Godzinę zaś podzieloną na sześćdziesiąt (60) równych chwil, i każdę nazwano* **minutą**.

Tak, to już wiecie, że obrót ziemi na około swej osi rodzi *dzień* i *noc*, a ze stałych tych obrotów mamy miarę czasu. Jest jednakże, przypomnijcie sobie, drugi ruch ziemi na około słońca i ruch ten podobnie stały, niezmienny. Czas, jakiego potrzebuje ziemia do obéjścia całéj drogi na około słońca jest wiecznie ten sam. Zawsze wiosna, lato, jesień i zima, jakie przypadają w ciągu tej podróży naszej ziemi na około słońca, powtarzają się w tym samym porządku. *Jeżeli przedstawimy sobie ziemię w chwili na tem miejscu jej drogi, w której mamy porównanie dnia z nocą wiosenne, czyli pierwszy dzień wiosny, to cały ten czas, po upływie którego znowu ziemia do tego samego miéjsca powraca nazywa się* **rokiem**.

Ziemia w ciągu całej swej drogi czyli w ciągu całego roku obróci się całkowicie trzysta sześćdziesiąt pięć (365) razy i jeszcze blisko na ćwierć swego obwodu, skąd wynika, że rok cały trzysta sześćdziesiąt pieć (365) powinienby mieć dni i blisko sześć (6) godzin. Zwykle jednakże rok całą liczbę dni zawiera, bo inaczej początek roku raz by się zaczynał od północy, drugi raz od szóstej godziny z rana, potem od południa, słowem rozmaicie początek roku by przypadał. Gdyby jednakże te sześć godzin odrzucać co rok, to wypadłoby, że ziemia nie dochodzi jeszcze do tego samego miejsca, skąd wyszła, a rok już uważalibyśmy za skończony, i byłoby porównanie wiosenne co rok wcześniej i wcześniej; zdarzyć by się także mogło, że to porównanie wiosenne, które 21 marca przypada, przypadłoby może w styczniu lub grudniu. Jakże wam się zdaje, byłoby to dogodna wtedy miara czasu? Ludzie zwykli swoje prace urządzać podług pór roku, o porach roku i miesiącach piszą ludzie uczeni w kalendarzach, i jakżeby to było nie dobrze, gdyby ten rok kalendarzowy nie zgadzał się z tym rokiem, jaki rzeczywiście z ruchu ziemi na około słońca wynika, czyli z tak nazwanym rokiem zwrotnikowym.

Otóż od wielu, od bardzo wielu lat zaradzono temu w sposób bardzo łatwy. Rok kalendarzowy, który ma całych trzysta sześćdziesiąt pięć (365) dni, jest o sześć (6) godzin blisko krótszy od roku zwrotnikowego, a więc jak się rok kalendarzowy już skończy, to zwrotnikowego godzin sześć pozostaje jeszcze. Po upływie lat czterech zbiera się tych godzin dwadzieścia cztery czyli jeden dzień. Dla zrównania zatem roku kalendarzowego ze zwrotnikowym co cztery lata jeden cały dzień przykłada się. Ten jeden dzień dokładając do każdego czwartego roku, czyli robiąc każdy czwarty rok mającym trzysta sześćdziesiąt sześć (366) dni, pozwalamy niejako dopędzić ziemi do tego samego miejsca skąd wyszła, a rok kalendarzowy zrównywamy z rokiem zwrotnikowym. Każdy taki czwarty rok nazywa się *rokiem przybyszowym*. Przy takiej poprawce porównanie wiosenne nigdy o jeden dzień nawet później przypadać nie będzie.

Nie od samego początku jednakże taką poprawkę zrobiono. Pierwszy raz poprawka taka zaprowadzoną została za panowania Rzymskiego cesarza Juljusza, dla tego też i *kalendarz* z tą poprawką układany nazywa się *Juljańskim*.

Jakże wam się zdaje, nie jest że to mądrze, i nie byłaż to konieczna poprawka taka? Przyjął ją cały świat prawie, tak jak przyjęły i drugą poprawkę wszystkie europejskie narody, a o któréj mowa zaraz będzie.

Rachując trzysta sześćdziesiąt pięć (365) dni w roku, opuszczamy blisko sześć (6) godzin, blisko, bo istotnie iż nie całych sześciu (6) godzin ziemia potrzebuje, aby po upływie roku kalendarzowego dopędziła do tegoż samego miejsca, skąd wyszła. Po upływie czterech lat zbiera się jeden dzień blisko, bo także nie całego dnia potrzeba na to, aby po upływie tych czterech lat ziemia powróciła do tego samego miejsca, z którego przed czterema latami wyszła.

Cóż stąd wnosić należy? Oto to, że dodając do roku kalendarzowego co rok sześć godzin, dodajemy za wiele, a tym sposobem ziemia już dopędzi do tego samego miejsca, skąd wyszła, a nasz rok jeszcze się nie skończy. Mała to wprawdzie co cztery lata robi się różnica, ale po upływie czterystu (400) lat, wypadałaby już o trzy dni różnica. Po czterechset la-

tach przeto, wypadłoby porównanie wiosenne podług kalendarza później o trzy dni, a przyszedłby czas znowu, że to porównanie o miesiąc, dwa lub później by wypadało; przypaśćby nakoniec mogło podług kalendarza porównanie wiosenne w październiku lub listopadzie, zamiast w marcu.

Ojciec Święty Grzegorz trzynasty (XIII) widząc, że poprawka zrobiona przez Juljusza Cezara nie jest jeszcze dostateczną, polecił kalendarz Juljański poprawić w ten sposób, ażeby rok kalendarzowy kończył się wtedy, jak i rok zwrotnikowy. Łatwo to było uczynić, wiedziano bowiem o ile się co cztery lata dodawało za wiele, a stąd ile dodawano za wiele przez wszystkie lata od Narodzenia Chrystusa Pana, o tyle ówczasowy rok skrócić należało. Tyle też, to jest dni dwanaście ujęto, przez co rok za panowania Papieża Grzegorza trzynastego był krótszy o te dwanaście dni, lecz tym sposobem porównanie wiosenne w czasie właściwym wypadło.

Do dziś od narodzenia Chrystusa Pana upłynęło czasu cztery razy po czterysta (400) lat, podług więc kalendarza Juljańskiego przybyło za nadto cztery razy po trzy dni, czyli dwanaście dni było za nadto, ale podług poprawki przez Papieża Grzegorza trzynastego zrobionéj, czyli jak się zwykle mówi, podług kalendarza Gregorjańskiego, te dwanaście dni zostały wyrzucone, tem samem błąd tak oczywisty poprawiony.

Wtedy więc kiedy dzień jest równy nocy na wiosnę, to podług kalendarza Gregorjańskiego był 21 marca tak samo w tym roku, jak był za panowania samego Juljusza Cezara, który żył jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa Pana, podług zaś kalendarza Juljańskiego 21szy marca wypada w dwanaście dni już po porównaniu wiosennem, co znaczy, że choć kalendarz Juljański mówi, że wiosna się zaczyna, to jednakże ta wiosna już od dwunastu dni się zaczęła.

Przepisy zachowania zdrowia.

WODA

Dobra woda do picia powinna być przezroczystą, umiarkowanie zimną w czasie zimowym, świeżą latem, bez zapachu, smaku przyjemnego; powinna także zawierać w sobie dostateczną ilość powietrza, soli wapiennych, i kwasu węglowego.

Woda, która nie ma podobnych własności, nie jest dobrą do picia: najlepsza jest woda deszczowa, dalej rzeczna i źródlana.

Wody stojące, wody z bagien torfowych, zawierające w sobie metale i psujące się części organiczne szkodliwe są dla ludzi i zwierząt.

Jednakże czasami ludzie znajdują się w takich okolicznościach że nie mając dobrej wody do picia, muszą się starać o oczyszczenie tej jaką mają, aby ją zrobić przez to mniej szkodliwą. O to niektóre sposoby oczyszczenia wody:

1. *Zlewanie.* Daje się wodzie odstać w naczyniu przez parę godzin, następnie zlewa się ją ostrożnie z osadu, jeszcze lepiej odstaje się woda po przegotowaniu.

2. *Filtrowanie.* Bierze się beczkę o jednem dnie z kranem u dna. W beczce tej na jednę stopę od dna umieszcza się drugie dno, w którem powinny, być przewiercone dziury następnie sypie się do beczki warstwa węgla drzewnego, warstwa piasku, i warstwa zwiru, potem znowu w tymże samym porządku sypią się parę razy takież warstwy węgla, piasku i zwiru dotąd, póki się beczka nie napełni, górny otwór zakrywa się flanelą. Następnie wlewa się do beczki woda naznaczona do oczyszczenia, która przez kran znajdujący się u dołu wychodzi już bardziej zdatną do picia. Filtr taki oczyszcza wodę przez cały tydzień, poczem należy beczkę znowu dobrze wymyć i wsypać nowe warstwy węgla, piasku i zwiru.

3. *Ałunowanie* dobre jest dla oczyszczenia wody zawierającej cząstki ziemniste i organiczne. Na 300 garncy wody sypie się do niej 1 łut ałunu, który osadza bardzo prędko cząstki organiczne, po zlaniu otrzymuje się woda mniej szkodliwa, chociaż mająca nieco smak ałunowy.

Naprawiają przykry smak wody, a częściowo robią mniej szkodliwym wpływ na organizm: dodanie trochę octu, lub wódki lub też wina czerwonego.

W każdym razie nie należy długo pić złej wody, chociażby i oczyszczonej, bo zimnice i inne choroby dziesiątkować będą ludzi. Potrzeba przenieść się czemprędzej w okolice, gdzie jest dobra woda do picia.

ODPARZENIE NÓG.

Wiadomą jest rzeczą, że ludzie którzy wiele chodzą, a szczególniej w gorącym czasie, a przytem w obówiu skórzanem, którego niezdejmują i na noc, przez tarcie zeschniętem od gorąca obówiem a także od nagromadzenia w butach znacznej ilości potu nożnego doznają zbąblenia, czyli tak zwanego *odparzenia* nóg. Dla tego, żeby nie uledz tym bolesnym cierpieniom należy,

1. po długiem i uciążliwem chodzeniu nie moczyć zaraz nóg w wodzie; można to wprawdzie zrobić, ale dopiero po kilko godzinnym wypoczynku,

2. po przyjściu na odpoczynek dla ułatwienia obrotu krwi w nogach, dobrze jest położywszy się, podnieść nogi do góry na pół godziny, albo i na dłużej,

3. buty smarować łojem, a jeszcze lepiej jest nosić umoczone w roztopionym łoju onuczki, które co parę dni zmieniać potrzeba.

Różności.

Stowarzyszenie wsparcia podupadłych lekarzy. Prawdziwa chrześcijańska miłość bliźniego dobrze zrozumiana zasadza się na tem, aby czynić dobrze, a nieczynić źle. Jak wiara, tak i miłość bez uczynków dobrych martwą jest. Są ludzie, co to głośno rozmawiają o tem, jak drugich kochają, jak dobrze im życzą, a gdy przyjdzie zrobić coś dla drugich, dać im, lub usługę jako wyświadczyć, to się wymawiają, że nie są w możności, lub co gorsza okłamują, że tyle już pierwéj świadczyli, iż na teraz środków po temu nieposiadają, aby jeszcze więcej zrobić mogli. Są to ludzie, co chcieliby darmo, bez trudów i wydatków drugim pomagać, i za to imienia dobrego chrześcijanina używać,— albo też ludzie prawdziwie dobrzy, lecz radzić sobie nieumiejący. I rzeczywiście zdarza się często spotykać ludzi, co każdemu radziby, jak się mówi, nieba przychylić, co o sobie zapominają, a dla drugich wszystko oddają,— a wszystko to niewystarcza na zaspokojenie potrzebujących, bo tak wiele jest biedy na świecie.

Narody i kraje, które dawniej, aniżeli my wiarę Chrześcijańską, tem samem dawniej aniżeli my chrześcijańskie uczynki miłości bliźniego spełniają, to te daleko więcej pod tym względem nabyły doświadczenia, a kierowane roztropnością obmyśliły środki takie, które im zawsze i każdemu pomoc potrzebną dać dozwalają. Oprócz kas oszczędności, do których każdy w miarę możności i tyle, ile chce składa, a jak potrzeba przyciśnie, to na ratunek z narosłemi procentami odbiera, tam w tych krajach: mianowicie u Anglików, Francuzów, Holendrów, Niemców, Włochów są pozaprowadzane wszędzie *stowarzyszenia wsparć*. Są stowarzyszenia urzędników, rolników, rzemieślników, majstrów, czeladzi, ludzi uczonych, malarzy, lekarzy, słowem każdego powołania ludzi. Należący do stowarzyszenia takiego obowiązany jest stale opłacać składkę oznaczoną, a za to, jeżeli go choroba lub jaka niepomyślność dotknie, po jego zaś śmierci wdowa, lub dzieci pozostałe, jeżeli tego potrzebują,— mają prawo do wsparcia stósownego, i takowe też stowarzyszenie jak najrzetelniéj im wypłaca.

U nas podobnych stowarzyszeń jest dotąd bardzo mało. Oprócz stowarzyszenia urzędników od lat blisko czterdziestu istniejącego, mamy Stowarzyszenia podupadłych muzyków, oraz lekarzy i aptekarzy. O innych niewiemy.

Otóż według rocznego sprawozdania o majątku, przychodzie i wydatkach *Stowarzyszenia wsparć podupadłych lekarzy* w Królestwie za rok 1862, okazuje się, że wszystkich stowarzyszonych, którzy w roku przeszłym wnieśli przypadające od nich składki było w ogóle trzystu dwudziestu sześciu (326), to jest lekarzy trzystu szesnastu (316), aptekarzy pięciu (5) i osób innego powołania pięć (5). Wsparcia zaś w tym roku udzielono: pięciu (5) lekarzom podupadłym, trzydziestu trzem (33) wdowom; jednej żonie lekarza obłąkaniem umysłu dotkniętego; trzem (3) córkom po lekarzach, w zupełnem ubóstwie zostającym, i pozostał się jeszcze pewny zapas na rok bieżący 1863, a były też także i wydatki na zarząd stowarzyszenia.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 1 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 7 Czerwca 1863 r.